



Liść Sangowy

31 października 2007

www.kannon.pl

info@kannon.pl

*"Tak jak spopielone drewno nie staje się na powrót drewnem,
tak i człowiek po śmierci z powrotem nie ożywa...
życie nie przeistacza się w śmierć...
śmierć nie przeistacza się w życie...
Życie samo w sobie stanowi pewien okres.
Śmierć także sama w sobie jest pewnym okresem.
Są jak zima i wiosna."
Jakusho Kwong Roshi*

Najbliższe terminy weekendowych zazen:

Najbliższe terminy weekendowych zazen:	
WARSZAWA 9-11.11.2007 w Falenicy 30.11-2.12.2007 na Tureckiej i dalej Rohatsu do 8.12. 4-6.01.2008 w Falenicy Zapisy Piotr Boruta: Tel. 022 610 7117, 501 016 183	TRÓJMIASTO 9-11.11. - sesshin w Kamionce 7-9.12. - Rohatsu w Kamionce Zapisy Ania Lichota: Tel. 503 312 116, okoo@wp.pl

Soku Shin Ze Butsu – Właśnie Umysł jest Buddą

Mowa Roshiego Kwonga, Ango, Wilga, 10 lipca 2007 roku

Dzień dobry.

Chciałbym zacząć od podziękowania Jurkowi za to, że podejmuje tak wielki wysiłek w swojej sytuacji. Ważne, abyśmy zrozumieli to, że wyjeżdża nie oznacza, że go tu nie ma. Czy rozumiecie co mam na myśli? Kiedy Roshi Suzuki odchodzi – zawsze jest tutaj. Musimy myśleć w ten sposób. Nie tylko myśleć, ale czuć to na wskroś. To jest bardzo ważne. To jest przekonanie. I to jest owoc waszej Dharmy. Budda nie żyje. Historyczny Budda nie żyje. Ale Budda jest tutaj. I gdyby to nie była prawda, mnie by tu nie było. To jest bardzo proste.

Pamiętam, kiedy zaczynałem praktykować, byłem na wsi. Była wielka burza. Wiał wiatr, prawie jak na Islandii, gdzie często wieje bardzo silny wiatr. Powiedziałem wtedy do siebie: nic się nie porusza. Nic się nie porusza. To prawda, że wiatr wieje, ale to pierwszy wgląd, że nic się nie porusza. I wtedy dostrzegasz jak wiatr jest ostry. To jest wielka różnica w postawie. Tak jak sposób, w jaki wchodzisz do zendo, jak wychodzisz z zendo. Jak niesiesz samego siebie do swojego domku. I te wszystkie małe podróże, które wydarzają się zanim dotrzesz do domku. Twoja postawa, twoje nastawienie, twoje zachowanie odzwierciedlają głębię twojego zrozumienia. To wszystko jest połączone i to są ważne rzeczy.

Może zacznę od miejsca, w którym Jurek zaczął mowę. Myślę, że to ważne, abyśmy przeczytali pierwszy, wstępny paragraf. Pamiętajcie, to zostało napisane w XIII wieku. Dawno temu. Jesteśmy w XXI wieku. Czy jesteśmy bardziej nowoczesni? Dziś to ma takie samo zastosowanie, to jest to samo.

Soku Shin Ze Butsu w moim tłumaczeniu znaczy „Właśnie Umysł jest Buddą”. Po tym dodałbym wers „Umysł jest Umysłem, Budda jest Buddą”. Wracając do tłumaczenia „Soku” znaczy „właśnie”, „Shin” znaczy „Umysł”, „Ze” to „jest” i „Butsu” to oczywiście „Budda”. „Właśnie Umysł jest Buddą” to, jak wicie, bardzo słynne zdanie. Ale wielu ludzi zinterpretowało tę myśl jako podstawę do wspierania wiary w naturalizm. Mówią: jeśli nasz umysł tu i teraz jest właśnie Buddą, to nasze postępowanie musi być zawsze właściwe. W tym wypadku nie musimy wkładać żadnego wysiłku w zrozumienie i urzeczywistnienie Dharmy. Czy to jest naturalizm?... Nie jestem pewien...

Pamiętajcie jak Dogen napotkał tekst o tym, że mamy naturę Buddy? Jego pytanie, które popchnęło go do wielkich poszukiwań brzmiało: „Jeżeli mamy naturę Buddy, to dlaczego mamy praktykować?”. Ciągle ta sama kwestia. To jest przekonanie, system przekonań. Utrzymuje się on do dzisiaj, bo pewni ludzie właśnie w to wierzą. Jednakże ta interpretacja, jak pisze Dogen, jest poważnym błędem. Zasada, że właśnie umysł jest Buddą, musi być rozumiana nie z perspektywy intelektu, ale z perspektywy

praktyki. Innymi słowy, zasada ta nie oznacza wiary w coś duchowego nazywanego umysłem, ale potwierdza czas „teraz” i miejsce „tutaj” jako rzeczywistość samą w sobie.

„Tu i teraz” to taki hippisowski termin z lat 60. Bądź tu i teraz. Podobno przy pomocy prochów łatwiej jest być „tu i teraz”. Ale ja nie wiem, do jakiego „tu i teraz” ludzie w ten sposób dochodzili (śmiej). Pejotl, meskalina, halucynogeny. W tamtym czasie Roshi Suzuki został zaproszony na małe spotkanie i ktoś dodał czegoś do ciastek. Roshi postanowił wyjść wcześniej z tego przyjęcia. Następnego dnia wygłosił mowę i powiedział, że nie 360 stopni, a nawet nie 180, ale może najwyżej 10 albo 15 co robią te prochy. Wiecie dlaczego to nie działa? Dlatego, że to jest coś z zewnątrz, co jest przyjmowane do środka. Natomiast, jeśli mówimy o naszej praktyce, jest to podstawowy, całkowicie naturalny, organiczny proces.

To „tu i teraz”, tu (Roshi uderza kijem) dokładnie tu! Jest pionowe. Absolut. A teraz (Roshi uderza kijem) jest względne. Poziome. Miejsce. Czas, bycie czasem, punkt, kiedy te dwie linie się przecinają. Wtedy coś się wydarza. Dokładne w tym momencie. Tak dokładnie, że nikt nie potrafi przewidzieć, kiedy to się stanie. Więc mówią: „kiedy?”. Możesz powiedzieć, że to wynik długiej praktyki. W tej praktyce poddanie się, podporządkowanie się jest bardzo istotne. Kiedy się poddajesz. Dokładnie tutaj, dokładnie teraz. Czas i miejsce muszą zawsze być absolutne i właściwe, abyśmy mogli nazwać je Prawdą albo Buddą.

Wróćmy do ostatniej części książki. Pamiętacie z wczoraj ten wers? Nie użyłem słowa „świadomość”, ale „ureczywistnić”. Kiedy ureczywistniamy umysł całe niebiosa spadają i cała ziemia rozstępuje się. Tak brzmi tłumaczenie, choć moglibyśmy to ująć w inny, bardziej subtelny sposób, jednak znaczenie pozostanie to samo. Kiedy ureczywistniamy umysł, całe niebiosa znikają i cała ziemia odpada. To jest ureczywistnienie prawdy. Genjo Koan jest ureczywistnieniem prawdy. Wszystko znika. I wtedy nagle, wszystko wraca. Ale teraz to jest troszkę inne, rzeczywistość jest inna. Oświecenie jest tylko etapem wędrówki. To nie jest cała podróż. Czekają wiele doświadczeń. Musi być wiele różnych doświadczeń, bo wszystko się zmienia. To nie jest koniec. Oświecenie oznacza również doskonalenie twojej pierwotnej mądrości, ponowne odkrycie wrodzonej mądrości i współczucia, jako wyrazu tej mądrości. Współczucia dla innych ludzi, ponieważ ci ludzie to ty sam. Te wszystkie rzeczy, wszystkie inne rzeczy to ty sam.

Dalej, tak jak wczoraj przeczytał Mikołaj, jest napisane: „ziemia rośnie o trzy cale”. (*wywiązała się dyskusja na temat polskiego tłumaczenia, w którym zamiast „cale” przetłumaczone są „łokcie”*) Pamiętacie, jak poszliśmy na pchli targ, jak mierzyliśmy skarpetki? Każdy ma inny rozmiar stopy. Musisz owinać skarpetkę wokół pięści – to jest twój rozmiar!

W Ameryce słowo „patriarcha” tłumaczy się jako „przodek”, dlatego, że „patriarcha” jest słowem rodzaju męskiego. (do kobiet) Macie szansę!

„Starożytny przodek powiedział: Czym jest głęboki, czysty i jasny Umysł? To góry rzeki i wielka ziemia. To słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy. Wyraźnie rozumiał on, iż Umysł to góry, rzeki i ziemia, słońce, księżyc i gwiazdy. A jednak, jeżeli posuniecie się za daleko w tych słowach, czegoś zabraknie. Jeśli cofniecie się o krok, wyrażać będą zbyt wiele.”

Z jednej strony jest za mało, niewystarczająco. Kiedy jest za dużo? Czy byliście kiedyś w takiej sytuacji, kiedy jest za mało, i kiedy jest za dużo? Co powoduje, że jest za mało? To my idziemy do przodu, samych siebie popychamy naprzód. A kiedy decydujemy, aby się cofnąć, jest za dużo. Za bardzo wybiegamy naprzód, więc za bardzo się cofamy.

Umysł. Góry, rzeki i ziemia są niczym innym jak górami, rzekami i ziemią. To jest Sutra Serca. Forma jest formą. Ponieważ ziemia jest ziemią, księżyc jest księżycem, kolejne zdanie jest naturalną kontynuacją. Nie ma nic dodatkowego. Żadnych złudzeń. A może jest mnóstwo złudzeń?! To jest świat Buddy. Zaprasza wszystko. Wszystko przyjmuje. Dlatego, że za złudzeniem jest Budda. To jest w tym wszystkim wspaniałe. Za twoimi złudzeniami, za twoim lękiem. Za tym, co w tobie negatywne i pozytywne, jest Budda. Ale musisz to zbadać. Dotrzeć do tego miejsca. W ten sposób nie ma dodatkowego zamglenia. Nie ma mgły. Umysł jest życiem i umieraniem. Przychodzenie i odchodzenie. Niczym innym niż życiem i umieraniem, przychodzeniem i odchodzeniem. Ciekawe, że to się powtarza. I znowu nie ma dodatkowych złudzeń ani nawet ureczywistnienia. Nie ma nic poza tym. Nie ma Buddów, nie ma zen. Tylko góry są górami. To wszystko.

W 1975 ktoś zrobił mi zdjęcie takim specjalnym aparatem w naszym Zendo w stodole. Kiedy dostałem to zdjęcie szybko podpisałem je: „siedząc w złudzeniu”. Nie wiedziałem, dlaczego to napisałem. W tamtym roku miałem raka. „Siedząc w złudzeniu”. Mam taki charakter, że nie chcę mieć nic wspólnego z iluzją. Jestem lepszy, nieskazitelny. Chcę być. Ale przecież zen to wszystko. Złudzenie. Musimy przejrzeć nasze złudzenia na wylot. Bezżytecznym jest stwierdzenie, że nie mamy złudzeń. Lepiej powiedzieć, że dajemy się zwieść iluzji, albo „siedząc w złudzeniu”. To było naprawdę dobre, ale wtedy nie wiedziałem, co pisać. Teraz to rozumiem. Moja ręka to napisała. Nie mój mózg. Bo nasz mózg cenzuruje nasze pragnienia.

Umysł jako żywopłoty, dachówki, kamienie nie jest niczym innym jak żywopłoty, dachówki, kamienie. Miałem bardzo ciekawe doświadczenie w Japonii z dachówkami. Jak się przyjeżdża do świątyni, szczególnie starej, dachówki są porzucane wszędzie na ziemi. Roshi Moriyama zaprosił mnie do pewnej świątyni, bo była inna od wszystkich pozostałych. Była przerobiona ze starego wiejskiego domu. Nie było telefonu, elektryczności, telewizora, dvd, wtedy w ogóle nie było takich rzeczy. Teraz jest ich coraz więcej. Przykro mi z tego powodu. Wam nie. Dobrze jest żyć prosto. Ja ciągle nie mam komórki. Było tam bardzo zimno i przeziębilem się. Nie byłem przygotowany na taką temperaturę, jestem z Kalifornii. Jak przyjeżdżasz do jakiejś świątyni, to chcesz dobrze wyglądać. Ale wszystko przepadło, leciało mi z nosa. Roshi Moriyama przygotował mi kąpiel, narąbał drewna i wsadził mnie do takiego wielkiego gara. Następnego ranka przygotował mi śniadanie. Nadszedł czas, by wyjechać. Jak każdy gość, który tam przyjeżdża, dostałem magiczny flamaster Made in Japan i on powiedział, abym napisał coś na dachówce i zostawił w świątyni. Natychmiast przypomniał mi się koan o Mistrzu Koniu. Kiedy Mistrz Koń medytował, podszedł do niego nauczyciel i zapytał „dlaczego siedzisz?” On odpowiedział „siedzę, aby stać się Buddą”. Wówczas jego nauczyciel, myślę, że to był Nangaku, podniósł dachówkę i zaczął ją trzeć. Mistrz Koń zapytał: „dlaczego ją trzesz?” Nangaku odpowiedział: „staram się z niej zrobić lustro!” To jest jedna z ulubionych opowieści Roshiego Suzukiego. Pamiętam to, bo pomyślałem o tym zanim chciałem napisać, zanim moja ręka napisała: „dachówka jest dachówką”. W tym momencie stare drzewo, które stało tuż obok się przewaliło TRRRACH!!! Byłem zaskoczony. Co się potem stało? Roshi Moriyama pobiegł do zendo i zaczął bić w han BAM! BAM! Wezwanie i odpowiedź. Wezwanie i odpowiedź. To jest dachówka.

„Umysł jako żywopłoty, dachówki, kamienie, nie jest niczym innym jak żywopłoty, dachówki, kamienie. Nie ma żadnego dodatkowego błota ani wody. Nic dodanego, nic dodatkowego. Umysł jako cztery żywioły w pięciu warunkach, jest niczym innym niż cztery żywioły w pięciu warunkach.” Nie jest to napisane w tym tekście, ale chodzi o to, że wszystko jest tym, czym jest. „I nie ma żadnego dodatkowego konia ani małpy. Koń oznacza naszą wolę, a małpa umysł małpi. Umysł jako krzesło mistrza zen, albo kij mistrza zen, jest niczym innym niż krzesło i kij. Nie ma żadnego dodatkowego bambusa ani drewna. Ponieważ stan jest właśnie taki, właśnie umysł jest Buddą, jest nieskażony, właśnie umysł jest Buddą. Wszyscy Buddowie są nieskażonymi Buddami. Ponieważ tak jest, to właśnie umysł jest Buddą. Jest Buddą samym w sobie. Kto ustanawia wolę, przechodzi trening, urzeczywistnia Bodhi i doświadcza Nirwany. Jeśli ktoś nigdy nie ustanowił woli, nie wzbudził w sobie umysłu początkującego, nie przeszedł treningu, nie urzeczywistnił Bodhi i nie doświadczył Nirwany, to ten stan nie jest „Właśnie umysł jest Buddą”. Jeśli ustanawiamy umysł i praktykujemy choćby tylko przez jedną część chwili (w oryginale: sana - jest to sanskrycki termin określający 1/65 czasu potrzebnego na pstryknięcie palcami. Bardzo krótki czas, krótki, ale ma swoją głębię. Nie możemy zmierzyć – długi czy krótki. Nasz zwykły umysł chce, żeby to było długo, ale to nie ukazuje się w ten sposób. Więc nie czujemy się z tym dobrze. To podtrzymuje złudzenie. Złudzenie, że to już odeszło. Ale to nigdzie nie poszło. Nie ma dokąd iść. Jak wszystko może pójść gdziekolwiek? Jest wszędzie.

Tak więc w tej pojedynczej części... To przypomina mi historię o kimś, kto dostał nagrodę Nobla z fizyki, nazywał się Steven Chu. Był w stanie przy pomocy lasera gazowego w pomieszczeniu wielkości tego zendo, spowolnić ruch atomów z 4000 km/h do 4 cm/h. Ile to mil na godzinę?... Dużo, prawda?... Nie mogłem się powstrzymać i napisałem do niego. Napisałem, że robię takie doświadczenia od pięćdziesięciu lat. Naszym laserem jest nasza świadomość, Pradźnia. Używamy jej, by zwolnić myśli. Co się dzieje z twórczymi ludźmi? Zatrudnili go w laboratorium atomowym w Berkeley. Jest teraz szefem. Odkąd został zaprzęgnięty w całą tę administrację, koniec z jego kreatywnością. Oto, co się dzieje. Bardzo rzadko odmawiasz, kiedy dają ci taką robotę. Gubernator Kalifornii – Jerry Brown, został potem merem w Oakland. Tam jest wysoka przestępczość, dużo zabójstw. Politycy nigdy tego nie robią, nie schodzą stopień niżej. On to zrobił dlatego, że rozumiał system. Złudny system, w którym żyjemy. Nie pniemy się do góry. Im wyżej się wspiniesz, tym mniej masz wolności i twórczości. Więc niektórzy schodzą stopień niżej.

„W przeciwieństwie – podejmowanie treningu, by stać się Buddą przez długie kalpy nie jest „Właśnie Umysł jest Buddą.” Kiedy praktykujemy, nie robimy tego, by stać się Buddą. Czy to jasne? To byłby pierwszy, wielki błąd. My praktykujemy dla praktyki. Praktykując dla praktyki stajemy się Buddą. Praktykując, aby stać się Buddą, tak jak Mistrz Koń, nie możemy dotrzeć do tego miejsca.

Dalej Dogen pisze: „Nigdy nie widziano, nigdy nie poznano, nigdy nie nauczono się, że Właśnie Umysł jest Buddą”. Nie spotkał jeszcze prawdziwego Mistrza ten, kto oświadcza, że „Właśnie Umysł jest Buddą.”

Dogen był człowiekiem słowa. Był wielkim poetą. Wydaje mi się, że przeczytał Tripitakę dwa razy. Moglibyśmy być z siebie zadowoleni, gdybyśmy przeczytali choć centymetr przez całe życie. Rozpoczął swój trening w bardzo młodym wieku i jego droga wiodła poprzez słowa. Myślę, że dlatego Shobogenzo jest tak wspaniałe. Przez wiele lat było ukryte, pokryte kurzem i zostało wydobyte dopiero dwieście lat temu. Teraz należy do całego świata. To bardzo ciekawa książka. Samo tłumaczenie może nie jest najlepsze. Chciałem się dowiedzieć, kim są tłumacze i okazało się, że jeden z nich praktykował z Roshim Kodo Sawakim. W grudniu 1973 roku został ordynowany przez Roshiego Nimpo, tego samego,

który poprowadził pogrzeb Roshiego Suzukiego. Zobaczcie, gdzie ci ludzie pracowali. Był dyrektorem w firmie ubezpieczeniowej. Japończycy są dziwni. Ale ucieszyłem się kiedy zobaczyłem, kim był ten tłumacz.

Oto ostatnie cztery linijki. „Wszyscy Buddowie, o których była tu mowa, to Budda Siakjamuni. Siakjamuni Budda to „Właśnie Umysł jest Buddą”. Kiedy wszyscy Buddowie, przeszli, obecni i przyszli, stają się Buddami, nieuchronnie stają się Buddą Siakjamunim, który jest „Właśnie Umysł jest Buddą.” To piękne.

Gary Snyder, gdy po raz pierwszy przyjechał do Japonii... wiecie, kim był Gary Snyder, poeta? Jeden z pierwszych, którzy w czasach hippisowskich pojechali do Japonii. Był pomostem między czasami bitników i hippisów. Wszyscy eksperymentowali z prochami i wolną miłością. To wyróżniło się z bardzo ciężkich czasów, z makartyzmu. Wtedy ludzie zawsze nosili długie włosy, ewentualnie wąsy. Nie golili głowy i nie wypadało mieć brody. Wszyscy byli podejrzani o komunizm. Niektórzy w Hollywood byli na czarnej liście. Bardzo napięte czasy. Myślę, że Ameryka jest w najsmutniejszym momencie swojej historii. Myślę, że ponieważ czasy są złe i surowe, coś ważnego musi się wydarzyć. Koło się zamyka. Ludzie zaczynają poszukiwać. Bo to już nie działa. Jestem zdziwiony, że nie robią tego impeachmentu Busha. Clinton miał tylko jeden romans i go wyrzucili, a zobaczcie, co Bush robi! Zdumiewające.

No, i wrócił z Japonii Gary Snyder w sztywnej japońskiej marynarce z guzikami z brązu na piersi. A wszyscy mieli długie włosy, palili papierosy i trawę. To był taki kontrast. On miał dyscyplinę. Kiedy był w klasztorze, znalazł sposób, aby szybciej pracować, by mieć więcej czasu na siedzenie. Mnisi mówili, żeby sobie dał spokój i żeby, broń Boże, nie mówił Roshiemu.

Czy macie jakieś pytania, komentarze?

Pytanie: Czy jest różnica między czującymi istotami i świętymi istotami? Czasem te określenia używane są zamiennie.

Roshi: Czujące istoty to my. Istoty żyjące w złudzeniu. Jednocześnie, ponieważ żyjemy w złudzeniu, nie wiemy, że jesteśmy Buddami. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

Nie zrozumiałem.

Roshi: Buddowie i Bodhisattwowie są oświeconymi istotami. To nie znaczy, że nie mają złudzeń. Jest bardzo niewiele całkowicie urzeczywistnionych ludzi. Nie potrafiłbym nawet powiedzieć... Seung Sahn Soen Sa Nim był tego przykładem. Jadłem z nim kiedyś śniadanie i wszystkie fusy w mojej herbacie stanęły na baczność. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Pokazałem mu. A on tylko przeżuwał swoje śniadanie i niespecjalnie coś mówił. Jak Roshi Suzuki jadł śniadanie ze swoją żoną, zakładał strój do samu. Lubił ryż, zupę miso i sadzone jajka. Wstawał od stołu, gdy tylko skończył jedzenie, więc jego żona spytała: „Dlaczego ze mną nie porozmawiasz?”. Roshi mówił: „Muszę iść do pracy, mam samu”. Ona na to: „No dobra, chciałam ci tylko powiedzieć, że mam chłopaka”. Ostra była. Na to Suzuki: „No, to go zaproś na obiad. Nie ma problemu.”

Dziękuję.

Tłumaczenie: Jurek Kuun Dmuchowski

Spisała: Julia Mazur

Wspomnienia Małgosi Sieradzkiej

Wydaje mi się, że to bardzo osobiste wspomnienia. Miłej lektury!

Kiedy 20 lipca wracałam z Ango do domu nie byłam zbyt szczęśliwa, wręcz smutna. Siedziałam w autobusie i już tęskniłam za porannym dzwonkiem Sziuso na pobudkę, za pełnym ludzi zendo, za trzema błyszczącymi miskami oryoki i za niezwykłą intymną atmosferą, która wytwarza się na odosobnieniach. Wróciłam do domu i robiłam to, co zawsze: spotykałam się z ludźmi, chodziłam na piwo, imprezy, czytałam, rozmawiałam, spędzałam czas nad jeziorem i udawałam, że piszę pracę magisterską. Jednak cały czas tliła się we mnie jakaś tęsknota, takie coś, co strasznie pragnie czegoś większego i głębszego, takie coś, co postrzega marność i jakąś pustotę tych moich działań. Postanowiłam, że wyjadę gdzieś. Miałam nadzieję, że wakacyjny wyjazd odkryje przede mną sens, którego pragnęłam. Miałam kilka opcji do wyboru, ale żadna z nich mnie nie porywała. No, może gdyby to były Hawaje z fantastycznym mężczyzną, to bym się porwać dała, jednak takiej opcji się nie doczekałam... ☺ Zatem siedząc na kanapie w moim niedużym pokoiku, przyszedł mi do głowy pomysł, żeby pojechać na Kyol Che – odosobnienie organizowane przez Szkołę Zen Kwan Um założoną przez mistrza zen Seung Sahna, dobrze nam znanego z opowieści Roshiego. I kiedy się na to zdecydowałam znowu poczułam się szczęśliwa!!! Zgłosiłam swój udział i w najbliższą niedzielę (bo oni tam mają wejścia w niedziele o 18, a minimalny czas uczestnictwa to tydzień) spakowałam plecak i wyruszyłam do Warszawy.

W Warszawie zjadłam obiad z kuzynem, po czym wsiadłam w 521 na przystanku „Centrum” i po około 40 minutach byłam w Falenicy. Tam przywitały mnie wielkie kałuże, bo tego dnia strasznie padało. Zapytałam jakiegoś sympatycznego Falenicyńczyka jak dojść do ulicy Małowiejskiej i ruszyłam z bijącym sercem na spotkanie z przygodą. Jurek podczas Ango na jednej z Mów Dharmy użył tybetańskiego przysłowia „Wchodzenie w paszczę lwa”, które ma oznaczać, że niewiadomo co się wydarzy. Bardzo zapadło mi w pamięć i serce to zdanie „...niewiadomo, co się wydarzy”, i z takim właśnie umysłem szłam do Ośrodka. Nie miałam pojęcia, co mnie tam spotka oprócz tego, że będę medytować. Nie wiedziałam nawet, jaki oni tam mają plan dnia. W każdym razie szczęśliwie dotarłam na miejsce. Oprócz mnie przybyło też około 10 nowych osób. Przydzielono mnie do pokoju z sześcioma innymi dziewczynami/kobietami, dostałam swoją szatkę, którą zakłada się na górną część garderoby i miseczki. Ponieważ oni zachowują milczenie przez całe trzy miesiące, z nikim nie rozmawiałam. Przywitałam się tylko z moim bratem w Dharmie Piotrkiem Cz. Powiedziałam, zapytana przez osoby odpowiedzialne za przyjęcie tzw. nowoprzybyłych, skąd się tu wzięłam i że jestem uczniem Roshiego Kwonga, który, jak się dowiedziałam, uchodzi tam za „przyjaciela sanghi” i zaczęłam odosobnienie :D Pierwszy punkt to były śpiewy. Kto nie słyszał, ten sobie „nie wyobrazi” co to za śpiewy. W ogóle nie podobne do naszych. Z melodią. Trudne. Otwierające. I na początku – przynajmniej jak dla mnie, strasznie męczące. Śpiewy trwały godzinę. Potem nowo-przybyli zostali poinformowani o podstawowych zasadach, których mam wrażenie jest u nich mniej, niż u nas. Potem był zazen, a potem sen. Przez te trzy miesiące każdy dzień wygląda tak samo, czyli: pokłony, śpiewy, 2 rundy, śniadanie, praca, 3 rundy, obiad, runda, spacer, runda, kolacja, śpiewy, 3 rundy, sen. Trochę to przerażająco brzmi i nasz plan Ango wydaje się w porównaniu z tym nieco bardziej urozmaicony i bogaty w atrakcje.

Pierwszy mój tydzień to było adaptowanie się. Nie mogłam się dostosować do ich rytmu, formy, sposobu praktykowania. Wszystko wydawało mi się DZIWNE: szare szaty, wielki złoty Budda na ołtarzu z czerwonym tłem za „plecami”, walking meditation, którą w porównaniu z naszym kin-hin spokojnie można nazwać przebieżką, cztery plastikowe miski na kuchennej ściereczce w kratkę, zamiast pięknych dźwięków dzwonka na początek rundy, odgłos bambusowego „kija” i zaskoczenie roku: do Sali Dharmy, czyli ichniejszego zendo wchodzimy tylko w skarpetach (nie spodziewałam się tego i miałam ze sobą tylko dwie pary, z których jedną mi skradziono w połowie tygodnia ze sznurka na pranie). Jacek Gowdzia, który stwierdził, że te skarpety to porażka, bo „w skarpetach nie ma mocy”. Hahaha. Mam nadzieję, że się nie obrazi za ten cytat. Poza tym jakoś mało gasshio robią, linie w walking meditation nie muszą być proste i pod kątem 90 stopni, nie ma funkcji kelnerów i przy posiłkach serwują wszyscy, co jest myślę dużym plusem ☺, spodnie i skarpety, które można spotkać w Sali Dharmy bywają różnokolorowe, co też mnie trochę szokowało na początku, bo u nas to raczej na ciemno i broń boże bez odkrytych ramion czy nóg. Koreańczycy są pod tym względem raczej „wyluzowani” jak to Piotrek mawia. I w sumie to mnie trochę uratowało, bo bez żenady mogłam chodzić w spodniach z dosyć widoczną dziurą na udzie i nie miałam wrażenia, że obrazam Buddę ;)

Początki były ciężkie. Przede wszystkim dlatego, że bardzo próbowałam dorosnąć do takiej siebie, jaką chciałam być postrzegana, czyli „ja wam pokażę jak to się naprawdę praktykuje”. To powodowało, że bardzo bałam się popełnić błąd, co było oczywiście nieuniknione przy kompletnie nowych obyczajach. Tak więc to podtrzymywanie obrazu siebie jako kogoś nieskazitelnego i nie-początkującego strasznie mnie męczyło i stresowało, i to tak, że miałam poważne nerwicowe skurcze żołądka :/ Idąc dalej, oni tam nie mają zwyczaju niepatrzenia na siebie, co jest kolejną nowością. Nie rozmawiają, ale się wszyscy na siebie oglądają. Ktoś patrzy, ale nic nie mówi i w zasadzie pomyśleć może sobie wszystko, a ty musisz to przelknąć. Ciekawe są też karteczki. Karteczki to taki system komunikacji. Czyli nie mówisz, ale piszesz. My z Piotrkiem trochę karteczek wymieniliśmy np. z jego poradami dla mnie (bo on tam już miesiąc siedział) albo z moimi pytaniami i zdziwieniami do niego. To ciekawe, ale taka miła wspólnota się wytworzyła między nami „Kwongowcami”. Jakbyśmy byli dwójką rodaków na obczyźnie.

Jeśli chodzi o jedzenie, to jedzą mniej, choć miski są dość spore. W każdym razie trzy posiłki dziennie – żadnych dodatkowych „wystawek” po samu, dzięki czemu można sobie popraktakować bardziej ascetycznie. Przy mojej słabości do czekolady, wafelek z czekoladową polewą, którego można było uświadczyc raz na kilka dni, był naprawdę ogromną rozkoszą. ROZKOSZĄ!!! Szczerze mówiąc najtrudniejsze były dla mnie przerwy, które nie były zbyt długie – około 1,30 po obiedzie i po kolacji. Nie wiedziałam za co się zabrać: czy za prysznic, czy za czytanie (a to tam bardzo popularne zajęcie) czy za ćwiczenie jogi, czy za spacerowanie, czy też spanie. Tak mało czasu, a tyle do zrobienia! To zabawne, ale ja na odosobnieniach dostrzegam w sobie tendencję do tego, żeby wymyślać sobie coś do zrobienia. Czasami nawet robię listę rzeczy do zrobienia, żeby nie zapomnieć, a potem stukam się w głowę. Bo przecież tak na dobrą sprawę nic się nie stanie, jeśli czegoś nie zrobię. Zazen „przyjmie” mnie z nieumytnymi włosami, dziurą w spodniach czy niewydepilowanymi nogami ;)) I tak naprawdę to właśnie to najbardziej lubię w odosobnieniach typu Ango czy Kyol Che, że tam naprawdę można wszystko zostawić oprócz tego, co niezbędne, czyli podstawowej higieny osobistej. Resztą zajmuje się plan dnia. Nie muszę ładnie wyglądać, malować się, zakładać najlepszych ciuchów, prasować, gotować, organizować, załatwiać, martwić się o przyszłość etc. etc. etc. Jak to Oskar z Islandii kiedyś mi powiedział „You

must dance with the schedule" (Musisz tańczyć z planem dnia). I rzeczywiście tak jest łatwiej, ale też nie jest to prosty taniec, bo jest coś, co się nie chce dać prowadzić...

To o czym jeszcze warto wspomnieć to rozmowy osobiste. Każdemu przysługują dwie na tydzień – w poniedziałek i piątek. Ponieważ Kyol Che trwa trzy miesiące, prowadzone jest przez kilku nauczycieli. Ja trafiłam akurat na moment, kiedy zmieniali się nauczyciele. W pierwszym tygodniu mojego pobytu miałam okazję porozmawiać z Poep Sa Nimem Andrzejem Piotrowskim, a w drugim (bo ostatecznie przedłużyłam swoją wizytę o tydzień) z Soen Sa Nim Olą Porter. To naprawdę miła świadomość wiedzieć, że ma się więcej, niż siedem minut, choć nie narzekam, bo te nasze siedem minut są przecież ogromnie cenne. Na rozmowie osobistej można zadać pytanie, no i oczywiście odpowiada się na koany (ale to dobrowolne, nikt mi tam nie kazał praktykować koanów, sama się zdecydowałam). O wrażeniach po spotkaniach z nauczycielami też raczej nie ma co pisać, bo to przecież indywidualna sprawa. Napiszę może tylko tyle, że dla mnie bomba! ☺

Jeśli chodzi o sam Ośrodek, to naprawdę godna pozazdroszczenia „rzecz”. W sumie nic takiego. Duży piętrowy dom z piwnicą, w której jest magazyn, prasownia, pralnia i pokój. Wielka Sala Dharmy. Cztery łazienki – po dwie dla każdej płci. Solidnie wyposażona kuchnia. Biblioteczka nie większa od naszej i pokoje. Obok stoi też drugi dom, w którym mieszka Soen Sa Nim Ola Porter, jej syn Alex i rezydenci. Są dwa psy. I duży ogród, czyli mnóstwo trawy, na której można się wylegiwać w przerwach. Oczywiście zadbano także o palaczy i jest palarnia za tzw. „furtką”, którą wychodzi się do lasu. A lasów to ci tam dostatek! Niby nic takiego, a to naprawdę piękne miejsce, przesiąknięte praktyką. Świadomość, że tuż pod Warszawą jest takie „święte” miejsce jest naprawdę bardzo krzepiąca. Przy najmniej dla mnie.

Myślę, że dwa tygodnie na Kyol Che to za mało. Piotrek zastosował porównanie, że Ango to jak picie wódki „setkami”, a Kyol Che to picie wódki w drinkach ☺. Wydaje mi się, że coś w tym jest... W każdym razie to była dobra lekcja. Teraz się cieszę, że mogę być tam anonimowa, że nikt nie wie, że praktykuję, że mam raksu i że potrafię obsługiwać „doanowe” pałki i dzwonki (co w jakiś sposób podkarmia moje wyobrażenia o sobie). Siedzę tam sobie na szarym końcu i nic nie znaczę! To co mnie aktualnie zastanawia, to na ile można połączyć te dwie tradycje w swojej indywidualnej praktyce, bo nie ukrywam, że chcę tam jeszcze wrócić w połowie września i że chętnie tam będę wpadać na jakieś odosobnienia, bo naprawdę czuć tam te już chyba ponad dwadzieścia lat praktyki, ducha Seung Sahna i „moc”.

W ramach podsumowania, skuszę się jeszcze może na bardziej ogólne wnioski i refleksje. Na ceremonii koła po zakończeniu sesshin mówiłam, że przez cały czas trwania sesshin towarzyszyło mi uczucie świętości i że zaczęło docierać do mnie dlaczego Trzy Klejnoty to klejnoty. To poczucie świętości i cenności praktyki nie ustępuje, a wręcz staje się coraz intensywniejsze. Kiedy słucham Mów Dharmy albo przebywam z nauczycielami, czuję się jak człowiek, który 10 lat nie pił i nagle stawia się przed nim wiadro pełne wody. Pojawiają się we mnie różne uczucia: od ekscytacji przez tęsknotę po wzruszenie, ale przede wszystkim jest wdzięczność, że ci nauczyciele dzielą się sobą i są dostępni, że spotkania nie odbywają się w jakiś podziemiach, a informacje nie są przekazywane pocztą pantoflową. ;) Jestem szczęściarą. Zawsze, gdy mam ochotę narzekać na swoje życie, przypominam sobie, że przecież spotkałam Dharmę albo raczej, że to Dharma spotkała mnie i wszelkie powody, żeby marudzić znikają. Jestem prawdziwą szczęściarą, bo spotkałam nauki, które mówią, że mogę zmienić swoje życie, że jest wyjście z marności, z zaspania, z cierpienia, że jest taka przestrzeń, w której cały wszechświat jest jednym i tym samym, że zawsze wszystko jest w porządku cokolwiek by się nie działo, i że mogę sobie zaufać, bo jest we mnie coś mądrzejszego ode „mnie”, i że tak naprawdę to wszystko jest jednym wielkim kosmicznym żartem! Oprócz tego, że spotkałam takie nauki, to spotkałam też człowieka, który te nauki potwierdza każdym gestem, spojrzeniem i słowem, który w zasadzie potwierdza je samą swoją obecnością, który ma w sobie ogromną „Dharma Power”, czyli Moc Dharmiczną, jak to Kwan Um’owcy mawiają. No, i są też bracia i siostry w Dharmie, tacy przyjaciele od zawsze i na zawsze, z którymi można odpocząć od hałaśliwych myśli, pijąc w ciszy herbatę, jedząc kaszę manną z czarnych misek, oddychając na czarnej macie... Myślę sobie, że to naprawdę niezwykle, że zamiast leżeć na plaży i pić piwo, my robimy coś tak dobrego i jednocześnie trudnego. Bo przecież nie zawsze siedzi się łatwo, nie zawsze chętnie serwuje się jedzenie, nie zawsze chętnie się uważa na innych ludzi, pomaga im itd., a jednak robimy to dalej! Łatwiej było mi to docenić na Kyol Che. U nas są funkcje, czyli ktoś robi napoje, ktoś jest kelnerem itd. Natomiast tam wszyscy robią wszystko, czyli jak się kończą napoje, to kto chce te napoje dorabia, kto chce robi pranie dla wszystkich i je rozwiesza, kto chce serwuje jedzenie... Trudno to opisać jak się tego nie widziało, ale naprawdę mocno mnie uderzyło to, że oni tak sobie nawzajem wszyscy pomagają. Wiadomo, że czasem można przegiąć też w drugą stronę, no ale to już sprawa każdego z osobna. W każdym razie wielkie dzięki Wam Bracia i Siostry w Dharmie, że jesteście i że wspólnie podejmujemy ten wysiłek, aby wyzwolić wszystkie czujące istoty i osiągnąć Drogę Buddy!!!

A na koniec fragment Mowy Dharmy Aleksandry Porter Soen Sa Nim sprzed dwóch lat (wtedy jeszcze Poep Sa Nim). Tak, żebyście poznali smak Kwan Um’owego nauczania:

„Man Gong powiedział kiedyś: „Nie zwracaj uwagi na swoją karmę, nie przejmuj się nią. Zadbaj o to, aby nawyk praktyki stał się silny.” To bardzo ważny punkt, ponieważ ta karma cały czas się zmienia. Na początku, kiedy zaczynamy praktykować mamy dużo entuzjazmu. To trochę tak jak z zakochaniem się. Najpierw jest euforia, wspaniałe uczucie. Dokładnie jak z praktyką zen. Wspaniałe doświadczenia, wspaniałe uczucie. Ale po latach, tak jak w miłości, ten entuzjazm słabnie. Nie ma już tak silnych doświadczeń. Wtedy ten sprawdzający umysł bardzo wyraźnie się pojawia: co ja właściwie tutaj robię? Tak jak z partnerem: co ja widziałam w tym człowieku? Niektórym zajmuje to 2 lata, innym 20. Często też pojawiają się złudzenia: już wszystko rozumiem, wiem o co chodzi. Zwykle dzieje się tak, że w tym stanie nie pozostaje się długo, wszechświat troszczy się o nas, pojawiają się problemy, cierpienie. Wtedy znowu praktyka wydaje się bardzo atrakcyjna. I tak to trwa. Dlatego Mistrz Man Gong powiedział: nie zajmujcie się swoją karmą, tylko zadbajcie o to, aby nawyk praktyki stał się silny. Ponieważ, kiedy ten nawyk jest mocny, wtedy niezależnie od sytuacji, czy jest dobra, czy zła, praktykujemy codziennie, nie dajemy się zwieść. Nie dajemy się zwieść iluzjom, że życie jest łatwe i nie potrzebujemy nic robić. Często mówimy, że życie jest jak sen. Ta sytuacja długiego odosobnienia pozwala zobaczyć to i nawet czasami budzimy się na krótki moment. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy, nie korzystamy z tego. Ale rzeczywiście, jeżeli mamy możliwość patrzenia w ten punkt przez długi czas, mamy wgląd, wgląd w prawdziwą naturę, w swój pierwotny umysł. Jeśli jednak usiłujemy znaleźć ten umysł, to jest taka zabawna rzecz, że nikt nie może zobaczyć, co to jest ten umysł. Budda zrobił taką sztuczkę, żeby to pokazać. Znając to silne pragnienie uchwycenia tego, czym jest ten umysł, zobaczenia tego umysłu, podniósł swoją dłoń i powiedział: czy widzicie moją dłoń? Nie wszyscy byli pewni, ale Budda powiedział: macie oczy, więc widzicie moją dłoń. Ale nie możecie zobaczyć swoich oczu. Na tej samej zasadzie, macie umysł, ale nie możecie go zobaczyć. Im szybciej dojdziecie do tego, tym krótsza będzie wasza praca. Ale to co możemy zobaczyć siedząc na poduszce, to jak sprytnie funkcjonuje nasz umysł. Przez ten długi czas, każdy już widział swój film wiele razy. Niektórzy mają gangsterskie filmy, cały czas muszą się gdzieś ukrywać, ktoś ich goni. Niektórzy mają filmy kung-fu, walczą, walczą. Niektórzy mają filmy - mydlane opery, o miłości. Na początku praktyki oglądamy te filmy prawie nosem przy ekranie. Praktykując oddalamy się od tych ekranów, w końcu siadamy w ostatnim rzędzie. Tworzy się duża przestrzeń. I mamy taki mały przebłysk, to tylko film. To naprawdę nie jest rzeczywiste, to tylko film. Tak samo, kiedy oddychamy prawidłowo, wtedy czujemy przestrzeń między naszą prawdziwą naturą a naszym myśleniem. Ta przestrzeń jest bardzo ważna, ponieważ wtedy myślenie nie kontroluje nas. To my jesteśmy autorami tych filmów, dobieramy sobie aktorów, decydujemy jakiego rodzaju ma to być film, to się także nazywa kontrolowaniem swojej karmy. Musisz stać się prawdziwym mistrzem, szefem tego ciała. Wszyscy poznaliśmy kierowców z tylnego siedzenia. Cały czas się wtrącają. Kiedy nasz umysł staje się mocny mówimy: zamknij się, tutaj ja jestem szefem, ja kręcę tą kierownicą”.

Ps.

Te wspomnienia pisałam dokładnie dwa miesiące temu. Także teraz napisałabym je pewnie całkiem inaczej. Koniecznie muszę sprostować, że oczywiście nie jest tak, że herbatę robi ten, kto chce... Jest tak zwany tea-master, którym miałam zaszczyt być przez tydzień na Kyol Che, kiedy tu przyjechałam na kolejne dwa tygodnie. Są też osoby odpowiedzialne za robienie prania i jego rozwieszanie. Jakaś naiwność mnie zaćmiła chyba, że uwierzyłam, że ludzie tak z dobrego serca się poświęcają... Ja się na przykład raz poświęciłam i zrobiłam herbatę i kompletnie nie rozumiałam, dlaczego pewna Hiszpanka tak dziwnie na mnie patrzyła i to wcale nie z wdzięcznością. Już teraz wiem, że się jej w „rejon” wtręniłam. ☺ A tak w ogóle to mieszkam tu w Ośrodku w Falenicy. Planuję zostać do końca roku. Soen Sa Nim Ola Porter zgodziła się, żebym przyjechała na dwa, trzy miesiące pisać tu pracę magisterską. Jestem tu od dwóch tygodni i myślę, że okres adaptacji się już zakończył. Nie ma nas wielu. Oprócz mnie jeszcze trzy osoby mieszkające na stałe nie licząc Soen Sa Nim i jej dwóch synów, no i licznych gości „wpadających” na chwilę lub kilka dni. Kiedy ktoś mnie pyta jak się mieszka, odpowiadam, że raju nie ma, ale że jest dobrze, bo prawdziwie. Niby praktyki nie ma za dużo – rano i wieczorem, ale życie tutaj jest naprawdę intensywne. Poczułam to już drugiego dnia, co było bardzo zaskakujące. Przyczyn może być wiele. W moim przypadku głównie chodzi o obecność nauczyciela i wspólne życie z ludźmi, których nie znam. Całe szczęście, że mam własny pokój, bo w innym przypadku, życie tutaj byłoby dwa razy intensywniejsze, a to co jest teraz - wystarczy! ☺ A pokój mam szałowy. Większego w życiu nie miałam. Nie jest w stylu Ikea ani PRL, że użyję określeń Agaty S. Jest w stylu ośrodka Zen, który na nadmiar pieniędzy nie narzeka. Mnie się podoba. Mam tu wielkie okno, czyli dużo światła. Drewniane belki. Połowa podłogi to drewno, a druga połowa to wykładzina. Stare urocze biurko. Malutki uroczy bluzszyk i INTERNET! Hurra! No, i vis a vis „zimową” Salę Dharmy, która zachęca by w niej spędzać czas, gdy niewiadomo co ze sobą zrobić. Niestety prawda jest taka, że nie mogę się z tą swoją pracą uporać i znajduję tu dobre wymówki, żeby nie pisać. Na przykład:
- niekończące się sprzątanie na rzecz Ośrodka, bo sprzątanie końca może nie mieć, ale jak to Roshi kiedyś powiedział „kiedyś musisz przestać sprzątać”; a jak się nie chce pisać pracy albo po prostu nie można, niewiadomo czemu, to naprawdę trudno przestać...; raz sprzątałam 4,5 godziny i gdyby nie zmęczenie fizyczne, to bym mogła jeszcze!!!

- godzinne kido, czyli śpiewanie mantry z muktakiem przez godzinę
- spacer w pobliskim lesie
- i inne bardzo poważne „uduchowione” zajęcia, które są uduchowione jak się je wykonuje szczerze, a nie po to, żeby uciec od obowiązków.

Tak więc dobrze mi tu. Praktykuję codziennie. Jak mam ochotę na wielkie miasto, to wsiadam w autobus i za 30 minut jestem w Warszawie, którą z jakichś niewyjaśnionych powodów kocham od zawsze. Jak mam ochotę na spacer w lesie, to robię kilkadziesiąt kroków i już w lesie jestem. Jak mam ochotę pośpiewać, to idę do Sali Dharmy i śpiewam. Jak mam ochotę spotkać się z naszą Sanghą, to jadę do Warszawy i ląduję na Tureckiej, itp. Dobrze mi tu, choć łatwo nie jest. Ale nie wiem gdzie indziej mogłoby być lepiej. (W sensie: gdzie indziej poza ośrodkiem, w którym odbywa się praktyka). Czas tu jakoś szybko mija. Wszystko dzieje się jakby szybciej, życie wydaje się bardziej wartkie...

Pozdrawiam Was Kochani gorąco i serdecznie. Szkoda, że my nie mamy takiego Ośrodka.

Małgosia Bright Pearl

Zimowe sesshin

Wygląda że będzie☺ Zgłosiło się 15 osób. Jeśli ktoś jeszcze jest chętny, prosimy o zgłoszenia do Sławka (slawek@altkom.com.pl).

Była mała ankieta mailowa do zgłoszonych, bo kilka osób było za Falenicą, ale jednak większość woli do Kazimierza. Więc sesshin w Kazimierzu od 2.01. środa (można przyjeżdżać od 12:00, początek o 19:30. Koniec w niedzielę 6.01. około południa.

Koszt: 200zł dla Aktywnych, 220zł dla Wspierających, 240zł dla nie członków.

Z Warszawy

W listopadzie i w grudniu w warszawskim zendo odbędą się 4 spotkania poświęcone **studiowaniu tekstu Dogena: Oko i skarbiec prawdziwego prawa.**

Studiowanie będzie po zazen (g. 20.00-21.00).

13.11 – prowadzi Ewa Orłowska

20.11 – prowadzi Mikołaj

27.11 – prowadzi Jurek Dmuchowski

4.12 – prowadzi Jurek Dmuchowski

Warunkiem uczestnictwa jest przeczytanie wskazanego fragmentu tekstu. Teksty będą skserowane około 5 listopada w zendo, wyłącznie dla osób, które potwierdzą uczestnictwo u Piotrka Boruty 501 016 183 **do dnia 5 listopada**. Dlatego prosimy koniecznie zapisywać się u Piotra.

Ponadto, w listopadzie w Warszawie odbędzie się **instrukcja zazen**, dnia 20.11 o g. 16.30 w zendo, prowadzi Mikołaj. Jeśli ktoś z waszych znajomych jest zainteresowany również dajcie im znać.

Przypominamy o **Walnym Zebraniu** 18.11.07. o godz. 17:30 na Tureckiej.

W programie wybory Przedstawiciela Sanghi do Zarządu (Monika pełniła tę funkcję 2 lata i czas zmienić). Omówienie przygotowań do Rohatsu w Warszawie i do zimowego sesshin.

Dużo czasu chcemy poświęcić na dyskusję o organizacji 20-lecia w przyszłym roku.

Wszelkie inne tematy, o jakich poczujecie potrzebę porozmawiać.

Z Trójmiasta

Witajcie! Chciałabym napisać o tym co się u nas w Trójmieście dzieje, bo mam poczucie, że zaczęliśmy z dobrą energią. Udało się zorganizować dwa miejskie weekendowe siedzenia i spotkaliśmy się na studiowaniu tekstu. Cały czas próbujemy organizować sesshin wyjazdowe w Kamionce i mam nadzieję, że w końcu zagościmy tam ponownie. Na weekendowych siedzeniach w zendo raz po raz pojawiają się nowe osoby, a także wpadają sangowicze z dalekich stron. Ostatnio opowieściami z Sonomy dzieliła się z nami Łucja i jakoś tak zatęskniło mi się za życiem w ośrodku, i za Roshi, myślę, że nie tylko mi.

A co do studiowania tekstu, to cieszę się, że to w ogóle robimy, bo w końcu pojawiają mi się w głowie różne pytania dotyczące praktyki, chociaż bez nich wcale nie było źle. No, ale skoro już są to dobrze, że mogę się z nimi dzielić i szukać odpowiedzi, i służyć refleksji innych osób.

Mam nadzieję, że energia nie wyczerpie nam się i nie zapadniemy w jesienno-zimowy sen.

Pozdrawiam wszystkich, Ania Lichota

Z Poznania

WSPOMNIENIA Z SESSHIN

Chciałabym napisać tak wiele, ale przychodzi mi do głowy tylko jedno zdanie z mowy Roshiego; „Dachówka jest Dachówką”. To zdanie wstrząsnęło mną do głębi, czułam się jak to drzewo, które się przewróciło, ale ja się boję upaść.

Następna chwila to uroczystość, na której Mikołaj otrzymał tytuł Dharma Holder. Nie wiem dlaczego pomyślałam: „Jesteśmy uratowani”.

Jakiś czas po naszym odosobnieniu pojechałam ponownie do Wilgi, na odosobnienie grupy Bon. Nie planowałam tego wyjazdu, ale ktoś mi go zasponsorował. Spotkałam się tam z Wangyalem Rinpocze. Byłam w jakby nowym miejscu, nie było ciszy i nie było słycać śpiewu ptaków. Za to w czasie jednej z praktyk prowadzonych przed stupą przez Rinpocze, stupa dostała bijące serce. Rozmawiałam z Wangyalem Rinpocze, powiedziałam, że byłam tu niedawno na odosobnieniu naszej grupy. Spojrzał na mnie z pewnego rodzaju podziwem i powiedział: „Very good, very good”. Powiedział, że bardzo się cieszy, że nasza grupa praktykuje w ośrodku bon, wykorzystując to miejsce. Udzielił też nam błogosławieństwa.

Obecnie Wangyal Rinpocze przeprowadził się z USA do Berlina, gdyż jego nauczyciel Jongdzin Lopon Rinpocze, mieszkający we Francji, niebawem opuści ziemię.

Proszę o modlitwy o długie życie dla Lopona i naszego nauczyciela Jakusho Kwong Roshiego.

Hania Urbaniak

Kącik Poezji

"Czcigodny mnich z przeszłości powiedział:

Czymże jest głęboki, czysty, jasny umysł?

TO GÓRY, RZEKI, WIELKA ZIEMIA,
Słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy."

- A Ty ?

- Dla mnie to dom, który odwiedzam
raz do roku.

.....

szkoła magii i czarodziejstwa

mi zostaje

zostanę czarownicą zen

ubrani w habity

tylko różdżki trzeba

żeby zakute łby otworzyć

w których siedzimy

.....

być sobą

to mój cel

choćby nikomu się nie podobał

.....

małpka zen

za ołtarzem się chowa

przedstawienie skończone

nie ma nic

.....

można mieć swoje miejsce w tej sandze?

opuszczam dom w którym się urodziłam

sangha Miłości

.....

" Czcigodny mnich z przeszłości powiedział:

- Czymże jest głęboki, czysty, jasny umysł ? "

Dla mnie to Ty.

Dharma Wind

Ciekawostki

Mokugyo (jap.) / **moktak** (kor. *mok* drewno, *tak* uderzać)

drewniany instrument perkusyjny, o obłym kształcie, służący do wybijania rytmu w trakcie śpiewów w buddyźmie mahajany. Został również zaadaptowany przez taoistów.

Według buddyjskiej legendy dawno temu w Chinach żył mnich imieniem Chung San Poep Sa. Pewnego dnia w pobliskim jeziorze podczas rodzinnej wyprawy łodzią dziecko wysokiego urzędnika wypadło za burtę i utopiło się. Ojciec złamany smutkiem wynajął rybaków, żeby znaleźli choć ciało dziecka, jednak nie udało im się. W końcu udał się do Chung San Poep Sa, żeby ten odprawił ceremonie pogrzebowe, pomimo braku ciała. Mnich jednak wszedł w głęboką medytację i odgadł prawdę. Polecił zrozpaczone-
mu ojcu, aby poszedł na targ i kupił rybę. Kiedy następnego dnia rano urzędnik zakupił i rozciął największą rybę, jaką zdołał znaleźć, znalazł w środku swoje, ciągle żywe dziecko.

Na pamiątkę tej legendy mokugyo/moktak często ma kształt wydrażonej ryby z otwartymi ustami.

Istnieją również inne legendy, związane z powstaniem mokugyo.

W buddyźmie ryba, która podobno nigdy nie śpi, symbolizuje przytomność.

(źródło: www.wikipedia.pl)

Do następnego Liścia...

Ewa Kochanowska & Ania Lichota